

P. Franciszek Zajęc
Archiwum Wschodnie 40

Rozmowa nagrana na taśmę w maju i w lipcu 1988 roku. I/305

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłem się 26 maja 1922 roku w Janowcu nad Wisłą. Ojciec Jan, matka Waleria z domu Łukasik posiadali dwuhektarowe gospodarstwo rolne. Warunki w domu były dość ciężkie. Wychowywałem się więc częściowo u rodziców, częściowo zaś u ciotki Blicharskiej /siostra mamy/, pomagałem jej w pracy na roli. Szkołę podstawową ukończyłem w Janowcu. Ponieważ nie miałem zamiłowania do pracy w rolnictwie pragnąłem ukończyć jakąś szkołę w kierunku mechanicznym. Udało mi się dostać do gimnazjum elektromechanicznego w Kazimierzu, które ukończyłem w roku 1941. Była to szkoła przygotowująca kadry do budowanych w Poniatowej Państwowych Zakładów Teleradiotechnicznych. W czasie okupacji szkoła nasza funkcjonowała nadal, jednak już bez możliwości nauczania takich przedmiotów jak historia i język polski. Według niemieckich założeń Polak powinien umieć czytać, pisać, liczyć i pracować. W związku z taką sytuacją rozwinęło się tajne nauczanie. Przychodziliśmy więc grupkami na tajne komplety, gdzie uczono przedmiotów zabronionych w szkole. Nauczyciele starali się wprowadzać do lekcji elementy patriotyczne, których nie było w programie. Był taki profesor, który umiał to robić w sposób dowcipny. A my wszyscy byliśmy z tego zadowoleni. Pamiętam też księdza Domagałę z klasztoru w Kazimierzu, który uczył języka niemieckiego. Mówił on: "uczcie się tego języka, bo język wroga należy znać." Do tej pory pamiętam wiele niemieckich zwrotów, których wówczas się nauczyłem. I to był dla nas uczniów taki "zastrzyk" patriotyzmu.

Do organizacji ZWZ zostałem zaprzysiężony w 1940 roku. Byłem wtedy w drugiej klasie. Dokładnej daty nie pamiętam, ale było to na wiosnę. Zaprzysiężony zostałem przez mojego byłego dowódcę komendanta "Strzelca" w Janowcu - Antoniego Ganciarę. Przed wojną

bowiem należałem wraz z kilkoma kolegami do tej organizacji o charakterze na pół wojskowym. We wrześniu 1939 r. gdy wybuchła wojna zgłosiliśmy się ochotniczo do tzw. "służby wewnętrznej". Aby być przyjętym należało mieć ukończone osiemnaście lat życia. Ponieważ warunku tego nie spełniałem, musiałem uciec się do kłamstwa. Nie było z tym wiele kłopotu, gdyż byłem wysoki i dobrze zbudowany. Z Janowca wysłano nas do Garbatki. Zakwaterowani byliśmy przy posterunku. Była tam też grupa żołnierzy. Naszym zadaniem była najczęściej ochrona kolei. Gdy wychodziliśmy na patrole, to wydawano nam broń. Ale stale z bronią nie chodziliśmy. I kiedy 7 lub 8 września wojska niemieckie nacierały od Radomia my wraz z wojskiem polskim rozpoczęliśmy wycofywanie się w kierunku Dębli. Zachowaliśmy przy tym już na stałe broń. Wojskowi radzili byśmy nie pchali się do nich, lecz zostali na własnym terenie. Nazywano nas też dziećmi, za co byliśmy na nich trochę obrażeni. Ale chyba jednak słusznie nas tak nazywano. Starsi wiekiem cywile również radzili nam pozostanie na własnym terenie, motywując to naszym zbyt małym doświadczeniem. /A my mieliśmy projekty, żeby przedziierać się przez Wisłę na stronę lubelską/. Stosując się jednak do powyższych rad, skierowaliśmy się w stronę Janowca, klucząc nieraz między wojskami niemieckimi. Po dotarciu do celu ukryliśmy broń. Wkrótce nasz były komendant - Antoni Gonciara dowiedział się o tym i zaproponował byśmy broń oddali dla utworzonej w Janowcu placówki i obiecał nam zaprzysiężenie. I tak się też stało. Odtąd byliśmy już żołnierzami ZWZ. Zresztą wtedy nie wiedzieliśmy jak się ta organizacja nazywała. Dopiero później zrozumieliśmy, że jesteśmy w ZWZ. Początkowo działalność moja ograniczała się do spraw wywiadowczych, czytania prasy konspiracyjnej, dostarczania tej prasy, przenoszenia jej na drugą stronę Wisły. Wykorzystywano w tym wypadku fakt mojego uczęszczania do szkoły w Kazimierzu, a w związku z tym codziennego przeprowiania się przez Wisłę. Nie pamiętam naz-

wisk osób w Kazimierzu, którym dostarczałem prasę. Jedna z nich mieszkała przy ulicy Krakowskiej, drugiej oddawałem w szkole /człowiek ten zginął później w obozie/.

Po ukończeniu szkoły otrzymałem propozycję pracy w niemieckiej fabryce Eriksona w Radomiu. Oferty tej nie przyjąłem. Natomiast w 1943 r. powstała w Janowcu podoficerska szkoła piechoty, do której zostałem skierowany. Ukończyłem ją wspólnie z pięcioma czy sześcioma kolegami i dostałem przydział do oddziału dywersyjnego, dowodzonego przez Mariana Dziechciarskiego ps. "Miś". W tej właśnie grupie dywersyjnej brałem udział w wielu akcjach bojowych m.in. w akcji opanowania Zwolenia w lutym 1944 roku, następnie w akcjach uciszania i poskramiania osadników niemieckich w Sosnowie i Leokadii. Uczestniczyłem też w wielu różnych drobnych działaniach porządkowych takich jak rozbicie mleczarni, spalenie list kontyngentowych itp. Często byłem kierowany do akcji pomocniczych w Górze Puławskiej, dowodzonych przez podporucznika Sadę. Moje zadanie polegało na kontakcie z ludnością cywilną po to, żeby nie zdekonspirować żołnierzy tej placówki. W 1944 r. brałem udział w odbieraniu zrzutu w okolicach Papkowie i Bronowie. Zrzucono tam dwóch cichociemnych. Jeden z nich zginął na skutek nie rozwinięcia spadochronu. Ciało jego znaleźliśmy. Oficer ten pochowany jest na cmentarzu w Wysokim Kole. 17 maja 1944 roku był dniem tragicznym dla Janowca. Półtora czy też dwa bataliony niemieckie okrążyły tą miejscowość, schwytały 50 osób. 19.VI. dokonano egzekucji. Wśród rozstrzelanych wielu było moich kolegów. Mnie udało się jakoś ukryć i w ten sposób ocalałem. Wydarzenia te zdeorganizowały działalność naszej placówki. Pozostało więc ukrywanie się w Górze Puławskiej i prowadzenie dorywczych działań. I tak dotrwałem do lipca 1944 roku. W sierpniu tego roku niektórzy koledzy poszli na koncentrację żołnierzy okręgu Jodła. Ja z kilkoma innymi otrzymałem rozkaz pozostania na miejscu w celu ob-

rony ludności cywilnej. Tymczasem do Wisły podeszły wojska radzieckie. Postanowiliśmy więc rozeznąć dokładnie sytuację. W tym celu z punktu obserwacyjnego na zboczu wzgórza prowadziliśmy obserwację przy pomocy lornetek. Widzieliśmy więc jak wojska sowieckie zaczęły się przeprowiać przez Wisłę w miejscowości Zastów. Było to w prostej linii półtora lub dwa kilometry od miejsca naszej obserwacji. Wkrótce widać już było jak powoli między wiklinami, brzegiem Wisły już po naszej stronie sowieci posuwają się w stronę Janowca. Doszli do niego chyba 6 sierpnia.

Staraliśmy się przekazać im zebrane przez nas dane o Niemcach. Oni jednak nie przejawiali zainteresowania tym materiałem.

I w ten to sposób ogarnęło nas to rzekome wyzwolenie. Wkrótce utworzyła się milicja. Jeden z jej członków - mój kolega szkolny - Kajetan Wrotkowski /członek PPR/ ostrzegł mnie, żebym gdzieś "pryskał", gdyż dowiedział się, że są aresztowania, a sam - jak się wyraził - nie chciał brać w tym jakiegokolwiek udziału. Ja się nawet na niego obruszyłem. Dlaczego ja mam "pryskać"?

A jednak on miał rację i ostatecznie przekonał mnie do "ulotnienia się" z Janowca. Posiadałem wówczas dwie kenkarty: jedną na swoje i drugą na inne nazwisko, a mianowicie - Andrzej Żagowski. Z tą drugą udałem się na prawy brzeg Wisły czyli na Lubelszczyznę. Po kilku dniach wróciłem na krótko, aby zobaczyć co się dzieje z rodziną. Niedługo potem, ze względu na linkę frontu, wysiedlono z Janowca całą ludność cywilną. Inną przyczyną wysiedlenia były ciągłe zatargi ludności z sowietami. Wysiedlona ludność znalazła się na prawym brzegu Wisły, na Lubelszczyźnie. W ten sposób spotkałem się ponownie z rodziną. Początkowo mieszkałem u kolegów koło Kazimierza. Następnie wypędzono nas dalej, w rezultacie czego znalazłem się w Niezabitowie. Należało teraz tak sobie życie ułożyć, aby było z czego żyć. Ponieważ byłem jednym ze sprawniejszych w rodzinie, a nie chciałem być dla niej ciężar-

rem, więc postanowiłem zająć się handlem. W związku z tym udałem się do Wąwolnicy na targ, aby kupić trochę zboża. Zamierzałem produkować z niego samogon, żeby coś zarobić. Pamiętam, że tego dnia była słotna pogoda, padało. Stoję tak na targu, gdy w pewnym momencie podchodzi do mnie Władysław Rogoziński. Znałem go już wcześniej, gdyż mieszkał kilometr ode mnie w Oblasach.

W tym czasie był on członkiem PPR. Ponieważ miał na sobie wojskowy płaszcz sowiecki, więc zapytałem: "co ty teraz jesteś w sowieckim wojsku, a nie w ludowym, polskim?" A on na to: "tak, a co nie podoba ci się?" - "Co mi się ma podobać lub nie podobać" - odrzekłem - "to twoja sprawa". A on wtedy głową dał znak komuś, kto stał za moimi plecami. Obróciłem się i widzę, że za mną stoi kilku enkawudzistów. Podeszli do mnie, kazali ręce włożyć na kark i odprowadzili do samochodu - budy, który stał dalej pod taką górą. Samochód ten pilnowany był też przez innych enkawudzistów. W tym miejscu warto podkreślić, że byli w PPR tacy ludzie, którzy ostrzegali o grożącym niebezpieczeństwie, ale byli i tacy, którzy wydawali w ręce sowieckie. W moim przypadku do tych pierwszych należy kolega Wrotkowski, z którym do tej pory utrzymujemy kontakty, mimo że mieszka on daleko, bo w Bydgoszczy. Do drugiej kategorii należeli ludzie pokroju Rogozińskiego. Po moim powrocie z Rosji mieszkał on jeszcze w naszych stronach. Wkrótce jednak gdzieś się wyniósł, nie wiadomo gdzie. "Przysłużył się" on nie tylko mnie ale i innym kolegom z Janowca. Kiedyś spotkałem się z jego bratem, który powiedział: "Słuchaj, ze mną możesz się przywitać, ja nie jestem taki...syn jak on". Tak się brat wyraził o bracie.

Wróć teraz do momentu, w którym mnie aresztowano i wsadzono do samochodu-budy. Początkowo byłem sam. Po niedługim jednak czasie przyprowadzono jeszcze Stanisława Łukasika z Janowca oraz Franciszka Pierzchałę z Oblas. Byli to znani mi koledzy. Zaczęliśmy naradzać się nad próbą ucieczki. Stwierdziliśmy jednak, że nie ma ona jednak szans, gdyż byliśmy mocno obstawieni. Zresztą jeden

z kolegów - Łukasik odradzał jakąkolwiek ucieczkę, gdyż jak mówił sam był już kilka razy zatrzymywany i zawsze do domu wracał. Ale tym razem, jak się później okazało, był w błędzie. Do naszej trójki dołączono jeszcze kilka osób, których nie znałem i wywieziono tym samochodem z Wąwolnicy przez Kazimierz do wsi Zastów. Po drodze w Kazimierzu wysiedli z samochodu: Władysław Rogoziński, Tadeusz Kuzioła - mój kolega z ławy szkolnej, który również był jednym z konfidentów NKWD i jeszcze jakiś nieznany mi osobnik. W Zastowie osadzono nas w ziemankach. Ja siedziałem w jednej ziemiance z Łukasikiem i z Pierzchałą. Przebywaliśmy tam nie pamiętam już jak długo - tydzień lub dwa tygodnie. Ziemianek było tam kilka. Ogrodzone były drutem kolczastym. Były to wykopane w ziemi doły, przykryte z góry ziemią. Głębokość dołu była taka, że nie można było się wyprostować. Również leżeć można było tylko z podkurczonymi nogami. U góry był otwór do wychodzenia lub podawania pożywienia, zawsze czymś założony. Powiedziano nam, że nie wolno tym otworem wyglądać pod karą strzelania bez ostrzeżenia. Dwa razy dziennie wyprowadzano nas na powierzchnię za swoją potrzebą oraz podawano po kawałku chleba i zupę. Przy wychodzeniu widzieliśmy, że z innych ziemianek ktoś stara się wyglądać i dać nam jakiś sygnał. Po kilku lub kilkunastu dniach przewieziono nas samochodem do Janowca i wysadzono na podwórku państwa Gonciarów. Pan Gonciara był dowódcą placówki w Janowcu, stąd dom jego był mi dobrze znany. Postawiono nas pod mur i koleno brano na rewizję. Pierwszy poszedł Łukasik. A ponieważ wiedział, że ja mam przy sobie kennkartę na inne nazwisko, to gdy powrócił, powiedział mi, że rewizja jest tak szczegółowa, że nic się nie da ukryć. Wówczas kennkartę wsunąłem pod blaszany parapet przy oknie i poszedłem na rewizję, która trwała dość długo. Następnie wsadzono nas do przegród piwnicznych. Przegroda, w której byliśmy we trójkę przeznaczona była na węgiel. W związku z tym byliśmy bardzo usma-

rowani. W piwnicy przebywaliśmy około dwóch tygodni. Stąd brano nas na przesłuchania, których w sumie było kilka czy kilkanaście, już nie pamiętam ile. Zawsze odbywały się w nocy. Budzono nas i kazano szybko wychodzić. Damagano się ciągle podawania nazwisk. Ponieważ moje nazwisko było przesłuchującym już znane - podał je ten, który mnie wydał tzn. Władysław Rogoziński - więc nie wypierałem się go. Zresztą uważałem, że nie mam nic na sumieniu. Po za tym sam uważałem się za dążącego raczej "na lewo". Doktryna ta podobała mi się tak jak i innym młodym ludziom. Nie byłem przecież kimś zamożnym. Powiedziałem nawet, że swego czasu pomagałem sowieckiemu lotnikowi, zestrzelonemu niedaleko Janowca nad Wojszynem. Jak już zaznaczyłem wcześniej ciągle wypytywano kogo się zna. Mnie często pytano o broń, o magazyny broni i tak w kółko to samo. Wymieniłem w końcu kilka nazwisk ludzi, o których wiedziałem, że nie żyją, że wcześniej zostali rozstrzelani przez Niemców. Te same nazwiska powtarzałem za każdym razem. W końcu zorientowali się, że wymieniam osoby już nie żyjące. Powiedziałem wówczas, że nie mówili mi o jakie osoby im chodzi. W czasie przesłuchań nie ukrywałem faktu, że jestem żołnierzem AK. Wspomnę tu przy okazji o inoydencie jaki nastąpił podczas wcześniej przeprowadzanej rewizji. Otóż znaleziono u mnie orzełek na czapkę, który miałem w kieszonce. Na pytanie: "co to jest?" odpowiedziałem, że to jest moje godło, godło żołnierza polskiego, które nosimy na czapkach. "Nie - powiada sowiet - to nie jest wasze godło, bo tu jest korona" i chciał ten orzełek połamać. Skaleczył się jednak chyba, bo to twarda blacha była i rzucił w kąt. Zareagowałem na to w ostrej formie: "Jak to! dlaczego moje godło narodowe rzucasz do kąta?". Wstałem, żeby pójść i je podnieść. Nie pozwolił jednak na to, grożąc, że mnie zastrzeli. Sam wziął orzełek z kąta i wyrzucił do kosza.

Drugą sprawą, na której bardzo zależało przesłuchującym, oprócz nazwisk, było miejsce ukrycia broni. Ja zresztą faktycznie nie wiedziałem nic na ten temat, bo w okupację wiedziało się tylko to, co było konieczne. Człowiek starał się wtedy jak najmniej wiedzieć. Rozkaz wtedy był dla mnie miarodajny, a nie dowiadywanie się czegokolwiek, co nie było mi konieczne. To było przeciw wojsko. Ale skoro tak nalegali na wskazanie ukrytej broni, to przyszło mi na myśl, żeby wykorzystać tą sytuację do ucieczki. Powiedziałem więc na jednym z przesłuchań, że znam takie miejsce, gdzie kopano dół i że być może tam jest broń. Kazano mi określić to miejsce. Opowiedziałem im wtedy, że to jest w takich zarosłach, sadach, że trudno będzie im samym tam trafić. Zgodzili się więc, żebym poszedł z nimi. Wyprowadzono mnie z piwnicy i w asyście sześciu uzbrojonych sowietów udałem się na wymyślone przede mną miejsce. Ponieważ było ich ze mną tak dużo, stwierdziłem że ucieczka nie będzie możliwa, tym bardziej że mieli broń gotową do strzału. Uważałem, że gdyby ze mną był jeden sowiet, najwyżej dwóch lub trzech, to może by się coś udało, bo byłem wtedy jeszcze silny i sprytny. Prowadziłem ich przez Janowiec, który był o tej porze pusty. Spotkałem po drodze tylko jednego człowieka - pana Zawodowskiego. Skręciłem więc tak, żeby jaknajbliżej koło niego przejść i krzyknąłem: "powiedz, że ja tu jestem!" Sowietci zaczęli wtedy na mnie krzyczeć: "ty małczij" itp. W ten sposób zostawiłem jednak wiadomość, że jestem w Janowcu. Idąc dalej rozmyślałem... jak tu wyjść z tej sytuacji. W końcu zaprowadziłem ich w miejsce gdzie są sady i gdzie jest dużo zarosli, gdzie rzeczywiście dostrzegłem jakiś wykop. Wchodząc do sadu próbowałem pozorować szukanie miejsca zakopania broni, mierzyłem krokami odległość od drzewa i w końcu wskazałem na wspomniany wcześniej wykop, mówiąc że tutaj jest to miejsce, że tak mi wyszło z moich obliczeń. Wykop okazał się świeży, niedawno zro-

biony pewnie przez samych sowietów na samochody lub na coś innego. Zaczęli więc na mnie krzyczeć wyzywając od "żulików" i żądając wskazania właściwego miejsca. Wyprowadzono mnie przy tym na podwórko, przywiązano do słupa, wycelowano we mnie broń mówiąc, że mnie zastrzelą. Powiedziałem wtedy, żeby strzelali i nie męczyli mnie więcej. Jakoś tego nie zrobili i wkońcu dali spokój wypytywaniu. Wspomnieć tu jeszcze należy, że w sadach, w których byliśmy, faktycznie była skrytka ale w innym miejscu niż wskazałem. Zresztą takich skrytek było kilka w Janowcu. Zrobiliśmy je na wypadek potrzeby korzystania z nich. Kennkarty, którą włożyłem pod parapet przed rewizją nie udało mi się już wyjąć. Natrafili na nią mieszkańcy Janowca już po wywiezieniu nas. Zaczęto przypuszczać, że chciałem w ten sposób zasygnalizować, że gdzieś tu jestem. Dlatego sztukano nas w pobliżu, odkopując różne miejsca w ogrodzie. Znalezione przy tym jakieś części ciała, ale one do mnie "nie pasowały". Opowiadano mitto po moim powrocie z Rosji. Tymczasem skończyły się przesłuchania i pewnego dnia załadowano nas szybko do samochodów. Nie była to jazda na jakichś ławkach, lecz posadzono nas na podłóżkach w taki sposób, że jeden drugiemu siadał w rozkroku a ręce trzeba było trzymać na karku. Wewnątrz samochodu pilnowało nas kilku uzbrojonych żołnierzy sowieckich. Po drodze dołączono jeszcze kilka osób, tak że było nas kilkunastu. I w taki sposób wywieziono nas do Sokołowa Podlaskiego. Było wtedy mgliście i chłodno, padał deszcz. Sam dokładniej daty nie pamiętam, ale koledzy twierdzą, że była to pierwsza dekada listopada 1944 roku. W Sokołowie umieszczono nas w jakimś budynku niewiadomego dla nas przeznaczenia. Była wtedy nocy i trudno się było rozzebrać. Mimo, że było ciemno kilku z nas rozpoznało się nawzajem i tak w kupce trzymaliśmy się już razem. Oprócz Franciszka Pierchały i Stanisława Łukasika był Czopek z Karczmisk i Wacław Woś. Jedenastego listopada 1944 roku załadowano nas do bydłowych wago-

nów i wywieziono w kierunku wschodnim. Jechaliśmy o głodzie i chłódzie dłużej niż tydzień. Raz dziennie przynoszono wiadro zupy i chleb i to było wszystko. Nawet wody do picia brakowało w dostatecznej ilości. Nie było przy tym czym jeść, ani w co zupy nalać. Ci którzy byli więźni z więzienia mieli ze sobą koce, żywność, jakieś naczynia. My trzej z Janowca nie mieliśmy kompletnie nic. W końcu dojechaliśmy do miejsca swego przeznaczenia. Była to miejscowość Borowicze. Ilość osób, które przyjechały tym transportem nie jest mi dokładnie znana. Moim zdaniem było nas ponad tysiąc. W obozie zastaliśmy trochę Niemców. Jak wyglądał obóz? Był to teren poza miastem, ogrodzony kilkakrotnie kolczastymi drutami. Podobny był do obozów niemieckich. Na narożnikach i na linii stały bociany obserwacyjne, na których ciągle przebywali wartownicy. Przy ogrodzeniu były tablice ostrzegające, że do drutów nie wolno się zbliżać pod karą śmierci. W nocy teren oświetlony był lampami elektrycznymi. Między drutami ogrodzenia był pas pola codziennie grabiony, żeby nikt nie mógł się przedostać przez to pole. Osadzono nas w drewnianych, parterowych barakach. Było ich co najmniej dziesięć, bo pamiętam, że był barak o numerze dziesięć, który był przeznaczony dla chorych. Wewnątrz były parterowe i piętrowe drewniane prycze, na których spało po dziesięć osób. Niemcy byli umieszczeni w oddzielnych barakach. Po niedługim czasie posegregowano nas w plutony i zaczęto wypędzać do pracy. Pamiętam, że byłem w tym okresie bardzo wygłodniały. Właściwie od momentu aresztowania do przywiezienia do obozu głodowałem, później zresztą też. W związku z tym byłem w tym czasie zubożniały na wszystko co się wokół mnie działo. Każdy pluton miał inne zadanie. Trafiłem do plutonu dyżurnego. Charakteryzował się on tym, że robiło się tu różnego rodzaju prace w zależności od potrzeby. Najczęściej było to rozładowywanie wagonów z drewna przeznaczonego do kopalni. Inne prace to: kopanie dołów, wywożenie trupów, wywożenie fekalii /tzw.

szajskomando/, praca w magazynach i in. Codziennie rano przed wyjściem do pracy i wieczorem odbywały się tzw. "priewierki" czyli apele. Liczono na nich ilu więźniów wychodzi i ilu wraca. Wszystko musiało się zgadzać. Rano zimą, kiedy było jeszcze ciemno, kazano nam stawać na taki apel, każdy przed swoim barakiem. I taki sowiecki funkcjonariusz chodził i liczył nas. Jak rachunek zgadzał się, to stało się pół godziny, jak się nie zgadzał to stało się nawet dwie i trzy godziny. Brak ludzi na apelach świadczył o ucieczkach. Najgorsze priewierki były zimą, kiedy był duży mróz i wiał przenikliwy wiatr. Ja na dodatek miałem za ciasne buty gumowe. Mogłem je włożyć tylko na gołą nogę. Siłą rzeczy nogi kostniały mi z zimna. Wpadłem wtedy na pomysł, żeby zrobić sobie takie drewniane deseczki, które przywiązywałem do spodu buta i dopiero wtedy stawałem na śniegu. W taki sposób człowiek się po prostu ratował.

Drugą rzeczą, która nam najbardziej dokuczała był głód. Dawano nam jeść dwa razy dziennie. Pokarm składał się z wodnistej zupy, w której pływały liście z kapusty lub buraków oraz trochę kartofli. Do tego dawano po kromce chleba, ważącej dwadzieścia dkg. Z tego pożywienia największą wartość przedstawiał chleb. Zupę jedliśmy w puszkach po amerykańskich konserwach. Pamiętam zimę z 1944/1945 r., kiedy wyprowadzono nas do kppania dołków. Nie wiem do czego miały one służyć, chyba pod jakieś słupy. Ziemia była mocno zmarznięta. Co się trochę odkopało tej ziemi kilofem, to znowu zamarzało. Jak się zrobiło taki dołek, to przynajmniej tak bardzo nie wiało. Mróz był tak duży, że ludzie przestępowali z nogi na nogę, ciągle się ruszali, żeby tylko nie zamarznąć. Kopanie tych dołków trwało chyba z miesiąc. Do pracy staraliśmy się chodzić możliwie jak najwolniej, żeby zaoszczędzić jak najwięcej sił. Natomiast z powrotem wracało się znacznie szybciej, bo już człowiek liczył, że dostanie tej gorącej lury czyli zupy.

Po półkrocznej pracy i nędznym odżywianiu zapadłem na dystrofię. Wyglądało to w ten sposób, że nogi były grube, zapuchnięte, zaś reszta ciała odwrotnie - bardzo wychudzona. Następował zanik mięśni. Doszło do tego, że kilkakrotnie przyprowadzano mnie z pracy, gdyż o własnych siłach nie mogłem dojść do obozu. W końcu trafiłem na komisję lekarską, która uznała, że jestem niezdolny do pracy. Zabrano mnie wtedy do innego baraku, gdzie przez kilka dni nie wychodziłem do pracy. Pożywienie było to samo co poprzednio. Po pewnym czasie z baraku wybrano tych, którzy mogli chodzić i pieszo popędzono nas kilka kilometrów do tzw. obozu leśnego. /Niemcy nazywali go Waldlagier/ Byliśmy tak wycieńczeni, że niektórych trzeba było podwozić, bo upadali w drodze. Silniejsi więźniowie prowadzili słabszych. Bywało tak, że nogi robiły się jak z waty i człowiek zwał się na ziemię. W obozie leśnym umieszczono nas w baraku dla chorych. Przebywaliśmy tam chyba miesiąc. Do pracy już nas nie pędzono. Jedzenie było też lepsze. Zupa była gęściejsza i z kaszy jęczmiennej. Również chleba otrzymywaliśmy nieco więcej. Barak chorych obsługiwały był przez jeńców niemieckich, a właściwie przez Austriaków. Do spania przygotowali nam sienniki ze słomą. Wkrótce jednak musieliśmy je wyrzucić, gdyż zagnieździły się w nich pluskwy. Wyłaziły one ze szpar w drewnie, z którego zbudowany był barak i rozkaziły się wszędzie. Szczególnie spać nie było można. Były takie obrazki, że rano, po pobudce wszyscy wychodzili z baraku i wytrzepywali robactwo. Dopiero potem ubieraliśmy się i stawaliśmy na priewierkę. Po miesiącu doszedłem trochę do siebie. I wtedy ponownie trzeba było stanąć na komisję lekarską, która uznała, że mogę iść do pracy. Przydzielono mnie do plutonu, który woził drzewo z lasu nad rzekę. Stąd spławiało się je do obozu, gdzie Niemcy przecierali je na deski. A oto jak wyglądał wywóz drzewa z lasu: zaprzęgi składały się z 11 ludzi, z których było 5 par orczykowych i jeden przy dyszlu.

Kiedy droga prowadziła z górki, to ostatnia para z ostatniego orczyka przechodziła do tyłu i hamowała kołkiem koła, żeby za prędko wóz nie leciał.

Powiem teraz na temat Austriaków mieszkających w "leśnym obozie". Otóż byli oni traktowani lepiej niż Polacy. Byli "rozkonwojowani" to znaczy, że mogli wychodzić poza teren obozu bez sowieckiego nadzorcy. Mieli też lepszą pracę. Obejmowali różnego rodzaju warsztaty stolarskie, ślusarskie, cegielnie. Wszystkie funkcje w obozie zajęte były przez nich, a więc piekarnia, kuchnia i in. Dostawali też prasę. Od nich to dowiedzieliśmy się, że skończyła się wojna oraz co się dzieje w Europie. Uczestniczyli też w jakichś szkoleniach. Dokładnie nie wiedzieliśmy co to były za szkolenia, ale podobno przygotowywani byli do rozszerzania komunizmu w swoim kraju. Podczas priewierki, na zakończenie oni śpiewali sowiecki hymn w języku niemieckim. Myśmy zwykle po apelach też śpiewali, początkowo "Kiedy ranne wstają zorze" albo "Wszystkie nasze dzienne sprawy", a później śpiewaliśmy "Modlitwę obozową", tą którą śpiewaliśmy w oddziałach partyzanckich. Modlitwa ta przeniknęła do Polski z Zachodu. A oto jej treść:

O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie
O Polski dach i Polską broń,
O Boże skrusz ten miecz, co siecze kraj
Do wolnej Polski nam powrócić daj
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz Kraj.

Nasze śpiewanie było jakby odpowiedzią na ten hymn sowiecki, który śpiewali Austriacy.

Z Austriaków mieliśmy trochę korzyści, bo na przykład można było

dostać od nich kawałki gazet, które przydawały się na skręty. Również w innych drobnych sprawach okazywali się pomocni.

Jesienią 1945 roku zostałem wytypowany do pracy w kołchozach. W sumie byłem w trzech, gdzie pracowałem przy kopaniu kartofli, przy omłotach i innych jeszcze pracach. Warunki były tu już znacznie lepsze. Przewodniczący kołchozu szybko zorientował się że znam się na technice i dlatego dał mi do zreperowania niemiecką maszynę do szycia. Sam absolutnie nie znał się na tych sprawach, do tego stopnia, że do maszyny dał mi nici przędzone ręcznie, które oczywiście nie mogły się do tego celu nadawać. Maszynę rozebrałem na części i starałem się jak najdłużej ją składać. Koledzy w tym czasie chodzili do omłotów. Córce przewodniczącego zrobiłem pierścionek z monogramem. Sprawilem jej tym wielką radość. Zaczęła się nim chwalić przed innymi dziewczętami. Dla nich również zrobiłem jeszcze trzy takie pierścionki. Praca była prosta, chodziło głównie o monogram. Do tego celu zrobiłem sobie rylec. Różnego rodzaju materiały metalowe brałem z leżącego niedaleko rozbitego samolotu. W styczniu 1946 r. przyszedł rozkaz, że mamy wracać do obozu. Poszła już nawet taka "gadka", że już do Polski będziemy jechać. Tymczasem w kołchozie pozawiały się już przyjaźnie. Nawet do tego stopnia, że młode dziewczęta mówiły: "Ty Polak weź mnie ze sobą." Jeśli chodzi o ten powrót, to myśmy sowietom bardzo nie dowierzali, bo tych obietnic mieliśmy już dużo i nic z nich nie wynikało. Jednak tym razem wieści okazały się prawdziwe. Po raz pierwszy od chwili przybycia do obozu zmieniono nam bieliznę czyli koszulę i kalesony. Wierzchnia odzież pozostała ta sama. Do pracy już nie chodziliśmy. Nie byliśmy pewni czy wszyscy pojedziemy. Dlatego zaczęło się przekazywanie jeden drugiemu co kto ma powiedzieć rodzinie i kolegom w Polsce. Uczyliśmy się tego na pamięć, wielokrotnie sprawdzając się czy pamiętamy. Przed samym wyjazdem kazano nam podpisać oświadczenie, że wszystko nam zwrócono i że

nie mamy pretensji do Związku Radzieckiego. Nie bardzo chcieliśmy to podpisywać, uznaliśmy jednak radę starszych osób, że to nie ma większego znaczenia, jeśli podpiszemy.

Na transport załadowano nas w ostatniej dekadzie stycznia 1946 r. Po drodze dołączono jeszcze innych i w ten sposób dotarliśmy do Brzeźnia. W czasie podróży było bardzo zimno. Kupka węgla, którą wrzucono do wagonu została szybko spalona. Aby nie zamarznąć połamaliśmy wszystkie nary jakie były w wagonie i spaliliśmy je. Zanim przejdę do chwili, kiedy znaleźliśmy się w Polsce opiszę jak wyglądało życie religijne i kulturalne w obozie. Otóż duszpasterstwa stałego nie mieliśmy, nie było też wśród nas księdza, a przynajmniej ja o tym nie wiem. Mimo to, z okazji większych świąt zbieraliśmy się razem, aby je uczcić. Pozwalano nam na to. I tak w pierwszą wigilię w obozie w 1944 roku, wieczorem kiedy przyniesiono i rozlano już zupełny zyczyliśmy sobie szybkiego powrotu do kraju. Pamiętam, że rozplakaliśmy się wtedy. Do baraku przyszedł św. Mikołaj, który przyniósł życzenia od rodzin i bliskich i życzył nam wytrwania. Miało to miejsce w obozie w Borowiczach. Natomiast gdy przebywałem w obozie leśnym, dotarł tam skądś polski ksiądz. Było to już w drugiej połowie 1945 roku. Wieść o tym przekazywaliśmy po cichu jeden drugiemu. Ci co się dowiedzieli i chcieli uczestniczyć w nabożeństwie zebrali się w łaźni. Osób było tyle, że trudno było się pomieścić. Ja byłem jednym z uczestników tego nabożeństwa. Było to wielkie przeżycie. Nawet teraz gdy przypomnę sobie te chwile, to nie mogę powstrzymać łez. Ksiądz miał ze sobą brewiarz, kielich zrobiony był z puszki po konserwach. Przed nabożeństwem, na wejście ktoś zaintonował "Boże coś Polskę" najpierw po cichu, potem coraz głośniejsze, aż zagrzmiął mocno chór męskich głosów. To było ogromnie wzruszające. Nadmienię, że Msza w swym założeniu miała mieć cichy przebieg. Żeby każdy mógł w pełni uczestniczyć w nabożeństwie ksiądz zaproponował ogólną spowiedź powszechną, po czym udzielił rozgrzeszenia.

Następnie odbyła się komunia. Za opłatek złużył nam ohleb podzielony na małe kawałki. Po Mszy św. rozeszliśmy się w skupieniu do baraków. Była to jedyna, o jakiej wiem, Msza św. jaka odbyła się w obozie podczas mojego tam pobytu, czyli w ciągu dwóch lat. Dlatego na codzien każdy starał się modlić sam, tak jak umiał. Nazwisko księdza, który nas odwiedził nie jest mi znane. Jeśli chodzi o życie kulturalne w obozie, to oficjalnie nic nam nie organizowano. Warunki tworzenia takiego życia były utrudnione chociażby przez brak papieru i przyborów do pisania. Podobno jednak niektórzy próbowali coś w tym kierunku robić, ale ja o tym nic bliżej nie wiem. Ciągły głód powodował otępienie /szczególnie w początkowym okresie/, sprawiał że myślało się jedynie o tym jak sobie wszystko ułożyć, żeby przeżyć, jak pracować, żeby nie stracić wiele sił. Wciąż myślało się o tym jak znaleźć jakieś pożywienie. Sprawy towarzyskie, kulturalne schodziły na dalszy plan. Życie towarzyskie toczyło się raczej w małych grupkach. Lepsze warunki w tej materii mieli Austriacy. Stworzyli nawet zespół muzyczny. Na jednym z "koncertów" byłem obecny. Instrumenty muzyczne mieli zrobione z puszek. Nieźle im to granie wychodziło. Wyglądało to nawet dowcipnie.

Na temat obozu warto jeszcze dodać, że przebywali w nim Polacy pochodzący przeważnie z terenów obecnej Rzeszowszczyzny, Lubelszczyzny i wschodniej części województwa warszawskiego.

Ja z Pierzchałą i Łukasikiem byliśmy chyba jedynymi z terenów po lewej stronie Wisły. Jeśli chodzi o wiek więźniów to był bardzo różny. Byli nawet szesnastoletni chłopcy. Najszybsiej wymierali w obozie ludzie starsi. Jeśli chodzi o kobiety, to było ich niewiele i tylko w obozie w Borowiczach. W obozie leśnym kobiet nie było. Zapamiętałem nazwisko tylko jednej kobiety. Była to niedawno zmarła nauczycielka z Karczmisk - pani Kuczyńska. Była trochę starsza ode mnie. Jak zmarła to mogła mieć 70 lub 72 lata.

Wymienię teraz nazwiska osób, które zapamiętałem ze wspólnego pobytu w obozie. Zacznę od najbliższych mi osób. A więc Franciszek Pierzchała i Stanisław Łukasik - koledzy z którymi razem zostałem aresztowany. W obozie nas rozdzielono. Łukasik przez cały okres pobytu w Rosji przebywał w obozie w Borowiczach, pracował przy kopalni węgla jako cieśla przy obróbce drzewa. Franciszek Pierzchała pracował w warsztatach śludarskich. Pamiętam Jana Bronikowskiego, który pozostał tam na zawsze. Pracował w kopalni węgla na dole. Wychodził stamtąd ciągle mokry. Tymczasem nie było gdzie się suszyć. Po niespełna miesięcznej pracy w tej kopalni zapadł na jakąś chorobę i wkrótce zmarł. Był też z nami kolega - Edward Kluza, który 11 listopada wyjeżdżał z nami z Sokołowa. Byli koledzy z Rogowa: Jan Dacka i Czajka /imienia nie pamiętam/. Z Kazimierza był kolega Liszewski. Inne zapamiętane nazwiska to: Wacław Czopek, Wacław Woś, Tadeusz Zagożdżon i Tadeusz Doraczyński. O części z tych osób wiem, że jeszcze żyją i widuję się z nimi.

Czas powrócić teraz do momentu, kiedy przywieziono nas do Brześcia, czyli do pierwszych dni lutego 1946 roku. Przekładano nas tutaj do innych wagonów i przewieziono do Białej Podlaskiej. Staliśmy tu zamknięci w wagonach około 2 dni. Ludność cywilna wiedziała o tym i przynosiła nam chleb, wodę i gorącą strawę i podawała nam przez okienka. W końcu, kiedy postój przedłużał się, a nas nie wpuszczano, ludność cywilna zmobilizowała się i wspólnymi siłami - od wewnątrz i z zewnątrz - porozbijaliśmy wagony i rozeszliśmy się po mieście. Trafiłem tu na pewną rodzinę, która nas przygarnęła, zapraszając do domu. Mogliśmy się wreszcie dobrze umyć. Wyprano nam bieliznę, dając na ten okres inną. Spaliśmy w łóżkach pod normalną pościelą. Poczuliśmy się wreszcie tak, jak byśmy byli "w niebie". Muszę zaznaczyć, że nie mieliśmy ze sobą żadnych osobistych dokumentów. Wobec tego poro-

biono nam zdjęcia, wydano zaświadczenia i 10 lutego 1946 roku wyruszyłem wraz ze Stanisławem Łukasikiem do domu. Po drodze wstąpiliśmy jeszcze do rodziców Franka Pierzchały, który pozostał w obozie. Powiadomiliśmy ich, że żyje imże mamy nadzieję, że wróci. Gdy wreszcie dotarłem do domu radość była ogromna. Przekonałem się jednocześnie, że rodzina przez te dwa lata nieobecności nie wiedziała nic o mnie. Sądono, że już nie żyję. Wspomnę jeszcze, że gdy wróciłem waga mojego ciała wynosiła 46 kg. Jeśli chodzi o dalsze lata, to również nie były dla mnie zupełnie spokojne. Przed referendum w styczniu 1947 roku zostałem aresztowany i sądzony. Zarzucano mi, że za dużo mówię. Wobec braku dowodów uniwinniono mnie, nie dostałem jednak żadnych dokumentów, że proces się odbył. W dalszych latach zapragnąłem wreszcie spokoju i dlatego zmieniałem miejsca zamieszkania - najpierw na Warszawę, potem Wrocław, skąd po latach wróciłem do Lublina, gdzie obecnie mieszkam.

I/905





**KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION**

240, KING STREET, LONDON, W6 6RF

RP-7851/KH

A.K. "JODŁA"-OUR-REF-26.XII.1982r.

KOLEGA

FRANCISZEK ZAJĄC

LUBLIN-TRAUGUTTA N^o. 20

L I S T S Ł U Ż B Y

Okresu internowania po 26 lipca 1944 roku przez Dowództwo - - -
Wojsk Sowieckich na pograniczu Okręgów Armii Krajowej "JODŁA-ŻYTO"

1. Kolega Franciszek Zajac ps "KROPKA"-zaprzysiężony żołnierz Armii Krajowej-/ZWZ-PZP/od 24 kwietnia 1940 roku, działający na terenie Podokręgu AK "KRZAKI" Okręg "JODŁA" po zakończeniu działań wojennych na terenie Okręgu "Żyto" i akcji bojowej "BURZA"-

W dniu 22 września 1944 roku, został aresztowany przez N.K.W.D. i wywieziony transportem wraz z innymi żołnierzami A.K. Okręgu "JODŁA i "ŻYTO"/ 3 Pułk Piechoty Legionów AK/w głąb Z.S.R.R.

2. Na internowaniu w ZSRR przebywał jako żołnierz AK od 22 września 1944 roku do 10 maja 1946 roku-w obozach Odosobnienia w m. BOROWICZE oraz M. JEGOLSKU rejon Leningradzki. Z powodu choroby gruźlicy powraca do Kraju transportem wraz z innymi żołnierzami AK do miejsca zamieszkania w Janowcu N/Wisłą

3. Rozkazem Naczelnego Wodza-zarządzenie Szefa Sztabu Głównego z dnia 1 lipca 1948 roku odznaczony zostaje "Medalem Wojskowym" Dwukrotnie-za walkę z okupantem Niemieckim-Nr. 34512/48.-

-Rozkazem K-ta Głównego AK-Gen. Bora-Komorowskiego z dnia 1.08.1966 za upamiętnienie wysiłku Żołnierzy Polski Podziemnej w latach 39-45 odznaczony został "KRZĄŻEM ARMII KRAJOWEJ" Nr. 36390/66.-

m.p. 26 grudnia 1982r.



Za zgodności z akt. arch. KBŻAK

"JODŁA"
Olgię Radwanski
/Pik/ Olgię Radwanski, TROP/



**KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION**

240, KING STREET, LONDON, W6 0RF

RP-7850/KH
AK-"JODŁA" Our.Ref.26.12.1982 r.

KOLEGA
FRANCISZEK ZAJĄC
LUBLIN-TRAUCCITA Nr. 7

L I S T S Ł U Ż B Y

Okres służby wojskowej AK-wg wyciągu z akt Zarządu Głównego
Koła Byłych Żołnierzy A.K. - O k r ę g A.K. " J O D Ł A " .

1. Wysługa Lat: Wstąpienie do służby w ZWZ-AK-PZP oraz zaprzysiężenie w dniu 24 kwietnia 1940 roku w Placowce Nr.1 -Janowiec N/Wisła-przez Kpt. Antoniego GONCIARĘ-Obwód Koziennicki A.K.-Nadanie pseudonimu konspiracyjnego "KROPKA".
2. Działalność: -Praca konspiracyjna 1940-1943 w ramach ogólnej działalności rozpoznawczo-wywiadowczej Placówki Nr.1-oraz kolportaż prasy konspiracyjnej AK wraz z przenoszeniem broni w rejon Grup Operacyjnych w woju Puławskiego-Okręgu AK"-997.
-Ukończenie Kursu Podoficerskiego Obwodu AK"KRZAKI" od dnia 25 kwietnia 1943 roku do dnia 20 lipca 1943 roku.Nadanie stopnia podoficerskiego "KAPRAŁA".Rozkaz D-cy 3-go Pułku Piechoty AK Legionów.Nr.001/S/43.
-Przydział wojskowy do Grupy Dywersyjno-sabotażowej AK w Placowce Nr.1 w Janowcu N/Wisła.Udział w akcjach bojowo-dywersyjnych przeciwko Wojskom Niemieckim, poster. policji Niemieckiej, Ukrainkiej SS i administracji Dystryktu Radomskiego-z jednoczesnym zabezpieczeniem terenów zrzutowych-rejon działania dywersji:OBLASY -WYSOKIE ŁO-SOSNOWA-ZWOLEN-GORA PUŁAWSKA-działalność prowadzona pod D-tł. ppor.ppor."MISIA"i"SABY" do dnia wyzwolenia.-
-Za działalność Wojskową w Armii Krajowej odznaczony zostaje Odznakami Bojowymi W.P.przez D-cę A.K."JODŁA" Rozkazem Nr.0049/S/44 z dnia 20 czerwca 1944 roku:
 - 1.Krzyżem NIEPODLEGŁOŚCI .-----
 - 2.Krzyżem Srebrnym Zasługi z Mieczami.-
 - 3.Krzyżem Brązowym Zasługi z Mieczami.-

N/n list służby wraz z listem okresu internowania wydaje się w/w oraz do dyspozycji Jego Rodzinie.-

Za zgodność z Aktami AK
"JODŁA"
"TROP" płk. R A D W A N S

n.p. 26 grudnia 1982 r.



Franciszek Pierzchała
zam. w Oblassach
woj. Lubelskie

Oblassy dnia 20.07.1985 r.

O s w i a d c z e n i e

Ja jako były żołnierz AK i więzień obozu pracy w Borowiczach ZSRR w latach od 1944 - 1946, świadom odpowiedzialności za prawdziwość podanych faktów, legitymujący się dowodem osobistym JB 2047568 oświadczam:, że Franciszek Zając syn Jana urodzony dnia 26.05.1922 r. w Janowcu jest mi znany osobiście jako uczestnik Ruchu Opору Armii Krajowej w okresie okupacji hitlerowskiej, w sierpniu 1944r. po opanowaniu Janowca przez Wojska Radzieckie, wysiedlony na prawy brzeg Wisły, został zatrzymany przez władze wojskowe ZSRR we wrześniu 1944 r. więziony i w październiku 1944 r. wywieziony do ZSRR, internowany, osadzony w obozie pracy w Borowiczach. gdzie przebywał do czerwca 1945 r. W czerwcu 1945 r. komisja lekarska uznała go za niezdolnego do pracy z powodu choroby i po krótkim pobycie w baraku chorych przetransportowany do obozu leśnego Jegolsk, skąd powrócił do Polski 9.02.1946 r. z gruźlicą płuc i dystrofią.

Franciszek Pierzchała

/podpis/

Numer repertorium - 574/86

Puławy, dnia dwudziestego pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku.

Państwowe Biuro Notariaone w Puławach zaświadcza, że powyższy podpis pod oświadczeniem złożył własnoręcznie w obecności notariusza Tadeusza Szczerbińskiego Franciszek Pierzchała, syn Pawła i Marii /JB-2047568/, zamieszkały we wsi Oblasy, gminie Janowie. Tożsamość stawającego notariusz ustalił na podstawie wymienionego wyżej dowodu osobistego. Pobrano opłat: skarbowej -- i za dokonanie czynności notarialnej z § 20 rozporządzenia 200 złotych w znakach - Opłata skarbowa nie należy się do esurytury.

W poświadczeniu zakreślono "w znakach".

za zgodnicie:

V-ce Prezes Zarządu
Członek Komisji Kasa Nr 10 ZBOWID

Józef Ludwinski
7.11.87

O s w i a d c z e n i e

więzień

Ja jako były żołnierz AK obozu pracy w Borowiczach w ZSRR w latach od 1944 - 1946, świadom odpowiedzialności za prawidłowość podanych faktów, legitymujący się dowodem osobistym JB 2047620 oświadczam: że Franciszek Zając syn Jana urodzony dnia 26.05.1922 w Janowcu jest mi znany osobiście jako uczestnik Ruchu Opozu Armii Krajowej w okresie okupacji hitlerowskiej w sierpniu 1944 r. po opanowaniu Janowca przez Wojska Radzieckie, wysiedlony na prawy brzeg Wisły został zatrzymany przez władze wojskowe ZSRR we wrześniu 1944r, więziony i w październiku 1944 r. wywieziony do ZSRR internowany, osadzony w obozie pracy w Borowiczach, gdzie przebywał do czerwca 1945 r. W czerwcu 1945 r. komisja lekarska uznała go za niezdolnego do pracy z powodu choroby i po krótkim pobycie w baraku chorych przetransportowany do obozów leśnego Jegolsk, skąd powrócił do Polski 9.02.1946 r. z gruźlicą płuc i dystrofią.

[Handwritten signature]

/podpis/

Państwowe Biuro Notarialne
ul. Dąbrowskiego 7
24-100 W PULAWACH

Numer repertorium - 541/86

Puławy, dnia dwudziestego pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt szóstego roku. -----
Państwowe Biuro Notarialne w Puławach zaświadcza, że powyższy podpis pod oświadczeniem złożył własnoręcznie w obecności notariusza Tadeusza Szczerbińskiego Stanisław Kostka Łukasik, syn Stanisława i Wiktorii /JB-2047620/, zamieszkały w Janowiec i gminie Janowiec. Tożsamość stawającego notariusz ustalił na podstawie dowodu wyżej wymienionego. Pobrano opłaty za dokonanie czynności notarialnej z § 20 rozporządzenia - 200 złotych. Opłata skarbową nie należy się do tury. -----

W oświadczeniu dopisano "więzień".



[Large handwritten signature]
za zgodnicie
V-ce Przew. Zarządu
Ozielańcowej Jela Nr 10 ZEGWID
[Signature]
Józef Ludwinak
7.11.87

1. Fotokopie zaświadczenia wydane przez Ministerstwo Bezp. Publ. stwierdzające fakt repatriacji p. Zajśca z ZSRR do Polski. (1 egz)
2. Ksero listu służby wydane przez Koto Bytych żołnierzy AK nr. 1882 stwierdzające przynależność do AK (1 egz)
3. Ksero listu służby wyd. przez Koto Bytych Żołnierzy AK w Londynie stwierdzające fakt pobytu p. Zajśca na zesłaniu w ZSRR. (1 egz)
4. Ksero oświadczenie Stanisława Łukasika stwierdzające fakt pobytu F. Zajśca na zesłaniu. (1 egz)
5. Ksero oświadczenia Franciszka Pierzchały stwierdzające fakt pobytu F. Zajśca na zesłaniu. (1 egz)

*Wizyta
R. 11 4 1/2
1938*

MINISTERSTWO
BEZPIECZYSTWA PUBLICZNEGO
KABINET MINISTRA

ZASWIADCZENIE Nr *2078*

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zaswiadcza

imię *zob. w 2078*
przebył do Polski z terytorium *Z. S. N. R.* i udaje
się do miejsca zamieszkania *Z. C. 270*

Zamieszkały w *...*
Ddr. Górnice



ALC